Tom XVII. Nr. 15.

21. listopada 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bogaty Stryj.

We wsi Żarnowie mieszkała jedna wdowa z dwoma synami: starszemu było na imię Józef, młodszemu Grzegorz. Mieli oni aż na Podolu stryja bardzo bogatego, bezdzietnego, który owdowiawszy, obiecał całe gospodarstwo swoje zdać jeszcze za życia na jednego z synowców i miał wkrótce przyjechać aby ich poznać i wybrać sobie tego, który się mu lepiej spodoba. Drugi zaś miał zostać na ojcowiźnie, która była dość szczupła. Józef był prawie pewny, że to jego stryj wybierze.

Jednego dnia obaj bracia pojechali na jarmark do pobliskiego miasteczka. W połowie drogi spotkali jakiegoś staruszka, jadącego wozem prosto ku nim.

— Zjeżdżaj z drogi stary! krzyknie Józef i dalejże z końmi obces na starego.

Nieznajomy czemprędzej zjechał z drogi, ale stanął i pozdrowiwszy obu braci uprzejmie, zapytał ich:

— Moi drodzy ludzie, a gdzie też to droga do Żarnowa? ja nie tutejszy.

— Prosto nosa zawoła Józef, a potem stańcie i czekajcie, w którem uchu wam zadzwoni to w tę stronę pojedziecie.

Młodszy Grzegorz obruszył się na brata, czemprędzej zeskoczył z wozu, pozdrowił uprzejmie nieznajomego i wytłumaczył mu dobrze drogę do Żarnowa, za co mu stary bardzo podziękował.

To się stało rano. Bracia przez cały dzień zabawili w miasteczku, bo różne mieli załatwić sprawunki i dopiero wieczórem powrócili do domu. Matka wybiegła naprzeciwko nich dziwnie uradowana i powiada że stryj już przyjechał.

Józef i Grzegorz idą czemprędzej witać stryja, ale jakże się zdziwili, gdy ujrzeli tego samego starca, którego zrana spotkali na drodze. Józef zawstydził się niezmiernie, ale stryj ani słowa o spotkaniu nie wspomniał, i jakby ich dopiero pierwszy raz widział, obu serdecznie uściskał.

Józef uradowany że mu się upiekło, nie stracił nadziei, że łaskę stryja potrafi pozyskać i silił się, aby się mu przypodobać. Dalejże więc przechwalać się przed starym jak on to wszystkiem rządzi, jak brata krótko trzyma. Potem wypytywał stryja jak gospodaruje, a gdy stary zaczął się nad tem rozwodzić, zganił mu to i owo, i chełpił się co by to on robił gdyby objął to gospodarstwo.

Młodszy zaś brat, Grzegorz, przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu i tylko się kiedy nie kiedy na mowę brata uśmiechnął, ale nie przechwalał się w niczem; dla starego był pokorny, nie przerywał mu mowy a odpowiadał łagodnie, i owszem usilnie się starał ani w twarzy, ani w mowie, ani w postępkach swoich nic takiego nie okazać, co by go urazić mogło.

Po wieczerzy obaj bracia poszli spać do stodoły, stryj zaś pozostał z matką w izbie. Nim zasnęli długo się ze sobą naradzali; ale nad czem, tego bracia wcale nie wiedzieli.

Nazajutrz rano gdy przyszli na śniadanie, stryj tak rzekł do nich:

— Moi synowcowie, wiecie żem po to przyjechał, aby jednego z was zabrać i osadzić na mojej zagrodzie i o to mi

szło tylko, którego z was przybrać sobie za syna. Owóż już się namyśliłem i postanowiłem, a co raz postanowię, tego, trzeba wam wiedzieć, już nigdy nie odmieniam. Dla ciebie to kochany Grzegorzu przeznaczam całe moje mienie i spodziewam się że dobrym synem będziesz mi za to. Nieprawdaż mój synowcze?

— Kiedy taka wasza wola, rzekł Grzegorz całując rękę stryja, przyjmuję z wdzięcznością to wasze dobrodziejstwo, i oby mi Pan Bóg pozwolił bym się wam za to przynajmniej przypodobał mojem posłuszeństwem i uległością.

Stryj uściskał go serdecznie, Józef zaś przygryzł wargi i milczał, ale widocznem było jak go to gryzło, że stryj przełożył nad niego jego brata.

— Idzie teraz o to, rzecze stryj znowu, gdzie wy bratowo być chcecie? przy starszym, czy przy młodszym synu? To wam zostawiam do woli.

— Wolałabym tu zostać, tum się zrodziła, tu i umierać bym rada, ale z Józefem się nie zgodzę, on hardy, sprzyka; toż kiedy mi do woli zostawiacie, i ja z wami pojadę.

— Tak to bratku? rzecze dopiero stryj do Józefa; toś ty i dla matki taki jak dla nieznajomych? Pamiętasz nasze wczorajsze spotkanie na drodze?

— Cóż to się stało? gdzie? kiedy? pytała matka.

Stryj opowiedział jej wszystko; potem obrócił się znowu do Józefa i dalejże roztrząsać mu sumienie.

— Mój Józefie, tak się niegodzi; jeżeli chcesz żeby ci się dobrze działo na świecie, naucz się najprzód jak trzeba z ludźmi postępować. Owoż, każdy człowiek powinien być względem drugich uprzejmy, z nikim się sprzeczać, dla nikogo hardym być nie powinien. To też zawsze miej w pamięci, że starszych trzeba słuchać, ale nie trzeba ich uczyć, niegodziwością zaś jest żarty sobie z nich stroić, jak ty wczoraj ze mnie na drodze. Bądź zawsze dla obcych, dla nieznajomych uprzejmym, bo jak mówi przysłowie, na grzeczności nikt nie traci; każdego uprzejmie powitaj, pożegnaj, z drogi mu ustąp każdemu przysługę wyświadcz chętnie.

Józef przyznawał w duchu że to wszystko prawda co stryj prawi, ale że był bardzo hardy, nawet mu nie podziękował za napomnienie.

Niedługo potem stryj kazał Grzegorzowi założyć konie do wozu, matka poskładała do skrzyń przyodziewę swoją i Grzegorzową i niebawem wszyscy troje ruszyli w drogę, a Józef został sam.

* * *

Dwa lata minęło od owego czasu jak Grzegorz i jego matka gospodarowali u starego stryja. Chwalili sobie bardzo, bo nie trudno było gospodarować tam, gdzieś wielka była obfitość, wielki dostatek, a do tego poczciwy staruszek był dla nich bardzo dobry i tak się zachowywał, jakby nie on im, ale oni jemu łaski świadczyli. O Józefie często wspominali i żałowali że on tak od nich daleko. Aż oto jednego razu przyjeżdża Józef nowiuteńkim wozem, tłustemi konikami, ale jakiś smutny i blady. Matka, stryj, brat wybiegli na przeciw niemu witając go, a on jakiś cichy, pokorny, nieśmiały.

— Cóż słychać u ciebie? jak ci się powodzi?

Józef popatrzył na matkę, a w oczach łzy mu się skręciły.

— Zostawiliście mnie samego jak palec, a teraz pytacie jak mi się powodzi? Ot, jak biednemu pustelnikowi.

— A czemu się nie żenisz? rzecze stryj.

— Matka mną pogardziła i odeszła mię, powie Józef, a żona będzie zemną siedziała?

Potem rzucił się matce do kolan.

— Matusiu już ja nie taki jak dawniej, przekonacie się, sprobujcie.

Matce także na płacz się zebrało, bo zawsze tęskniła za rodzinnym kątem i tą chatą, w której spędziła najlepsze lata swojego życia.

Józef zabawił tydzień u stryja i tym razem bardzo się podobał staremu, a matkę swojem postępowaniem nie mało ucie-

szył. Po tygodniu wybrał się z powrotem do domu, ale już nie sam, matka bowiem widząc że się zupełnie poprawił, postanowiła przenieść się do niego, i z nim pojechała.

Uprzejmość.

Spokojny jestem i cichy,
Nie znam hardości ni pychy,
W moich oczach człowiek hardy
Nie wart więcej chyba wzgardy.

Szanuję ja sług ołtarzy,
A ich słowo u mnie waży,
Szanuję ja wszystkie stany,
Kmiotki, pany i mieszczany.

Nie potrzeba mi dowodu,
Jakiego tam kto jest rodu,
Cześć należną w równej mierze,
Odemnie każdy odbierze.

Czy żebrak w niskiej pokorze,
Czy pan w spaniałym ubiorze,
Młodzian, czyli człek sędziwy —
Ach! byle tylko cnotliwy.

Czyli jednych, czyli drugich,
Czy to swoich, czy to cudzych
Podług tego tylko ważę,
Jaki rozum kto pokaże.

I wy też jeżeli chcecie,
By się wam wiodło na świecie,
Równo czcijcie wszystkich ludzi,
A to dla was cześć w nich wzbudzi.

Grzeczność nie minie daremnie,
Odwdzięczą ci ją wzajemnie,
Nieraz nawet dobre chęci,
W wdzięcznej chowają pamięci.

Uprzejmego nikt nie mija,
On serca wszystkich podbija,
A często też grzeczność jedna,
Sto innych nawzajem zjedna.

O hardym zaś tak rozumię,
Że się poniża w swej dumie;
Hardość trąci tylko głupstwem,
Próżnością i samolubstwem.

Bracie, bardzo często zbłądzisz,
Jeżeli z pozoru sądzisz,
Bo czasem ów w lichej szacie,
Lepszy jak ten co w szkarłacie.

Tak żebraka jak cesarza,
Niech nikt nigdy nie obraża,
Jak równego, tak starszego,
Uszanuj godność każdego.

Godzien jest czci starzec siwy,
Szczęśliw on, czy nie szczęśliwy,
Kto mu czci nie odda z serca,
W moich oczach to bluźnierca.

Tak czyni człek każdy prawy,
Ja też ztąd nieszukam sławy,
Lecz nadzieję roszczę sobie,
Że mnie uczcicie i w grobie.

Stanisław Krakowczyk.

Wychowanie królewiczów polskich.

Opowiemy wam jak się wychowywali synowie króla Kazimierza Jagiellończyka. Nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie pierwej po krótce, który to był ten król Kazimierz.

Owóż król Kazimierz Jagiellończyk o którym mówić chcemy, czwarty z kolei król polski co to imię nosił, był to brat rodzony owego Władysława króla polskiego i węgierskiego, który zginął w bitwie z Turkami pod Warną. Panował on w Polsce przez lat czterdzieści i sześć, i przez ten czas prowadził często wojny to z Moskalami, to z Tatarami, ale najczęściej z Krzyżakami. Krzyżacy nakoniec wszędzie pobici, udali się w pokorę do króla Kazimierza i prosili o pokój, na co Polacy chętnie przystali, odebrawszy im większą część ziem polskich, które sobie byli przywłaszczyli, a resztę zostawili im pod tym warunkiem, że polskim królom podlegać i wierność zaprzysięgać im będą, i że w razie wojny będą Polsce dawać posiłki.

Na pochwałę króla Kazimierza Jagiellończyka to powiedzieć trzeba, że był bardzo pobożny, a przytem umiarkowany i dobroduszny, dla poddanych zaś swoich hojny, zwłaszcza dla uczonych, których zawsze rad widział na swoim dworze; najwięcej zaś przez to się zasłużył Panu Bogu i matce ojczyźnie. że dzieci swoje bardzo dobrze wychowywał.

Kazimierz Jagiellończyk miał sześciu synów i siedm córek, z których dwie zeszły młodo ze świata. Córki chowały się pod okiem matki, synowie pod opieką nauczycieli. Troskliwy ojciec wyszukał im na nauczycieli najuczeńszych mężów, od których maleńcy królewicze, od szóstego roku życia, po całych dniach pilnie uczyć się musieli, co tylko mądremu królowi wiedzieć potrzeba, aby umiał rządzić swoimi poddanymi, i aby im przyświecał rozumem, cnotami i bogobojnem życiem. Kilku nauczycieli mieli królewicze, ale najpierwszym pomiędzy nimi i głównym ich zwierzchnikiem, był ksiądz Jan Długosz, kanonik krakowski, mąż bardzo uczony i świątobliwy. Na krok

nie odstępował on swoich dostojnych wychowańców i pilnie czuwał nad ich obyczajami. Aby zaś nie mieli żadnej przeszkody w nauce, nie przebywał z synami królewskimi zawsze przy rodzicach na królewskim dworze, gdzie częsty ruch i gwar odrywałby ich od nauki, lecz jeździł z nimi to do Tyńca, to do Sącza, albo znów do Lublina, i tam w zacisznych zamkach spędzał z nimi czas na nauce.

To było najważniejsze w wychowaniu królewiczów, że ich od najpierwszej młodości nie przyzwyczajano do zbytków, tak pospolitych na królewskich dworach, ale do prostoty. Szaty, które nosili na codzień nie były wcale bogate; owszem, tak ich ubierano, że ktoby w powszedni dzień ujrzał był królewiczów zatrudnionych nauką, nie byłby się nigdy domyślił że to przyszli monarchowie potężnego państwa. Owóż latem nosili królewicze polscy prostą odzież z grubego sukna, w zimie zaś zwyczajne kożuszki kożle. Nie wybredną ale poślednią jadali strawę, a żadne wygody, żadne pieszczoty nie były im dozwolone, owszem przyzwyczajać się musieli od młodu do wszelkich trudów i niewygód.

Najstarszy z dzieci Władysław i ten co po nim następował Kazimierz, obaj zawsze potulni, skromni, a nadewszystko dobrotliwi i pobożni, już w dziecinnych latach wielką byli pociechą tak dla rodziców jak i dla swoich nauczycieli, którzy ich serca kształcili. I drudzy podobni byli z pięknych obyczajów. Trzeci brat, Olbracht, wesół, śmiały, rycerski, zapowiadał dzielnego i mądrego monarchę; inni, jako to: Alexander, Zygmunt i najmłodszy Fryderyk, byli stateczni a serdeczni, poważni a miłosierni.

Wiedział król Kazimierz, że aby dzieci korzystały z nauki, muszą być posłuszne i uległe swoim nauczycielom, toż wpajał w nich największe uszanowanie dla księdza Długosza, i królewicze tak go musieli słuchać jak ojca i matki.

Król mawiał im często: Macie dwóch ojców, jednego mnie, któremu winniście życie, a drugiego księdza Jana, co wam umysł rozwinął. Jeżeli zaś który w czem przewinił i zasłużył na karę, wolno było księdzu Długoszowi użyć i rózgi, a gdy

król Kazimierz posłyszał płacz karanych dzieci swoich, to tak mawiał: Niech płaczą, nie ma dla mnie milszej muzyki nad płacz dzieci moich pod rózgą nauczycielską.

Przy uroczystościach dworskich, albo kiedy jaki poseł przyjechał z zagranicy do króla, starsi królewicze pokazywali się na pokojach królewskich obok tronu ojca, ale już wtedy nie w ubogich szatach domowych, ale w bogatych, królewskich, lśniących od złota i purpury; co się jednak na nich lśniło bardziej od złota i drogich kamieni, to dusze ich czyste, co się w spojrzeniach i w każdem odbijały słowie. Toż cudzoziemcy wracając z Polski do swoich krajów, naopowiadać się nie mogli o zacności i rozumie polskich królewiczów.

Sława ich przymiotów wkrótce rozniosła się po świecie, i narody sąsiednie zapragnęły mieć ich swoimi królami. Jakoż najstarszego z nich Władysława, Czesi, a potem i Węgrzy obrali sobie na króla. Kazimierz, którego także Węgrzy chcieli mieć królem, przeniósł koronę niebieską nad ziemskie panowanie; był to młodzieniec wątłej budowy ciała, słabowity, ćwiczenia zaś pobożne, posty i modlitwy nocne tak go wycieńczyły że umarł wcześnie; a gdy potem rozliczne cuda działy się u jego grobu, ojciec św. policzył go w poczet świętych i nadał go krainie naszej za patrona. Olbracht po śmierci ojca zasiadł na tronie polskim i wojował z Turkami, Wołochami i Tatarami. Raz nie poszczęściło mu się okropnie na Bukowinie, w której to wyprawie bardzo dużo szlachty zginęło i ztąd urosła przypowiastka, za króla Olbrachta, wyginęła szlachta; w rok zaś potem wpadli Turcy na Podole i na Wołyń, i mnóstwo ludu uprowadzili w niewolę. Po jego śmierci panował czwarty z kolei brat, imieniem Aleksander, który zasłużył się ojczyźnie nie tylko zwycięztwy nad Moskalami i Tatarami, ale i tem że rozmaite prawa jakie dawni królowie polscy ustanowili, kazał zebrać i spisać w jednej księdze. Po nim panował piąty brat Zygmunt, który był tak dobrym i mądrym królem, że Polacy dotąd złotym wiekiem zowią czas jego panowania. Szósty

brat nakoniec Fryderyk, poświęcił się służbie bożej i był księdzem, a przechodząc szybko z jednego stopnia na drugi, został kardynałem, co więcej znaczy jak arcybiskup.

O Norwegji i tamtejszych wieśniakach.

Norwegia jest to kraj północny, zimny, stykający się z Szwecją, o której wam pisaliśmy. Od zachodu jest oblana morzem, które tu powyrzynało mnóstwo głębokich zatok i utworzyło łańcuch skalistych wysp. Jest górzysta i napełniona odwiecznemi lasy, a ma też kilka bardzo bogatych kopalni ołowiu, miedzi i srebra.

Pomiędy górami i skałami leżą doliny, środkiem których płyną rzeki i strumienie, a w tych dolinach wioski. Domy, zagrody, a czasem i całe osady wiszą na spadzistych urwiskach i zda się nie daleko od siebie, a przecie gdy kto chce odwiedzić sąsiada, długo kopać się musi przez góry wiecznym śniegiem okryte, zanim się dostanie do chaty, co z dołu bliską mu się zdawała. Ze szczytów skał rwiące strumienie spadają z szumem, i tworzą liczne wodospady, które obracają tartaki a potem pędzą do jeziór, albo do morza. Obok zielonych łąk ciągną się tu i owdzie pola jęczmienne lub owsiane, dalej ogrody i sady, a nieco wyżej leży na górach śnieg co nigdy nie taje. Dziwną się ta nagła przemiana wydaje cudzoziemcowi. Tu najdojrzalsze, najsoczystsze owoce, a nad głowami śnieg wieczny; stoi czasem wiśnia pod skałą, i można z niej rwać dojrzałe jagody, a pestki rzucać na ów wieczny śnieg. To jeszcze dla cudzoziemców dziwniejsze, że tam w czterech miesiącach od czerwca do września można widzieć wszystkie cztery pory roku. Wiosna trwa ledwo miesiąc, lato dwa miesiące, jesień sześć tygodni, a resztę roku zima zajmuje. Ale też wszystko bardzo tam prędko dojrzewa. Trzech miesięcy potrzeba, aby drzewa okryły się liściem, aby okwitły i owoc

wydały, a zboże jeszcze prędzej wschodzi i dościga. Przejście z zimy do wiosny lub z wiosny do lata, dzieje się w jednym dniu. Dnie są bardzo krótkie, a wieczory i noce bardzo długie.

Wsie są rzadkie, równie jak miasta; najwięcej zaś jest ich przy brzegach morskich. Wieśniacy budują sobie domy z drzewa i pokrywają je darniną, a szpary upychają mchem Ściany są poczerniałe od dymu, bo kominów nie ma. Powała idzie w szpic a w górze jest otwór z klapą, którym dym wychodzi. Majętniejsi gospodarze mają wygodne i dostatnie zagrody. Sładają się one z kilku oddzielnie stojących budynków. Jeden służy jak by u nas świetlica, do przyjęcia sąsiada w święta albo chrzciny. Drzwi tego domu są powyrzynane w różne figury, przedstawiające wilków, smoków, wężów. W izbie stoi piec potężny, pomiędzy słupami podpierającemi powałę, łóżka pięknie usłane, pod ścianami szafy pomalowane na niebiesko i w kwiatki, na podłodze rozrzucona sośnina, opodal stoi stół biały, czysty, na murkach naczynie cynowe, garnuszki i szklanki, czasem także srebrne naczynie. Sąsiek stoi osobno, tam mieszczą się zapasy masła, sera, mięsa suszonego, słoniny, kaszy, mąki, na górze zaś odzież rozwieszona i kołdry tuzinami. Osobno znowu stoi dom gdzie sypiają, a piekarnia także osobno. Tak bywa u bogatych kmieciów.

Wieśniacy w Norwegji są średniego wzrostu, silnej budowy ciała, powolni we wszystkiem co przedsiębiorą, ale wytrwali i stali w postanowieniu. Umiarkowani, lubiący swobodę, weseli, w robocie zręczni, kochają ojczyznę i są bardzo przywiązani do starych zwyczajów, a kiedykolwiek wymówiony wyraz s t a r a N o r w e g j a, do łez ich rozrzewnia. Zbrodnie tam są rzadkie, ale bitki częste, a bitki takie, że się przy nich nieraz nożami pokaleczą. Lubią palić tytoń, lubią grywać w karty i do tańca są skorzy; piją też i wódkę chętnie, ale brzydzą się i pogardzają pijakami. Przytem są bardzo gościnni i nawet najuboższy wieśniak chętnie w domu swoim przyjmie cudzoziemca, zastawi mu co ma najlepszego, go-

tów podzielić się z nim ostatnim kęsem chleba, ale za gościnę nigdy nie przyjmie zapłaty.

Rolnictwo jest tam w lichym stanie, a to dlatego że ziewia nieurodzajna, a zima nadto długa; za to chów bydła bardzo kwitnie w Norwegji. Ledwo wiosna zabłyśnie, pędzą bydło w góry, często o mil kilka. Tam kobiety i dziewki siedzą z bydłem przez całe lato, póki śnieg nie zawita, a mężczyźni tymczasem pracują w polu, często jednak odwiedzają swoje trzody. Dziewki bardzo lubią to życie swobodne w górach, i dlatego gdy się która godzi do służby, to sobie wymawia że ją na lato także poszlą z bydłem. Tam w górach mają pobudowane szałasy z kamieni, przykryte darniem, bez okien, bez komina i w nich sypiają; w rogu zaś jest kamień na którym palą i gotują.

Bydło mają piękne, a konie bardzo wytrwałe. Konie są średniej wielkości, silnej budowy, z krótką szyją a szeroką piersią, płowe i gniade, a każden ma od ogona przez cały grzbiet aż do głowy ciemną pręgę. Poczciwe to są stworzenia i nigdy nie trzeba na nich bicza. Koń norwegski gdy się spina pod górę, to nie idzie prosto, jeno zygzakiem, a gdy się zmęczy, staje, odpoczywa i znowu dalej ciągnie; z góry schodzi też bardzo ostrożnie. Biedak, przez całe życie nigdy owsa nie widzi.

Ludzie w Norwegji nie są przemyślni. Wszystko co im potrzebne, sprowadzają z Niemiec, jako to: kapelusze, czapki, grzebienie, buty, odzież, naczynia wszelkie, sprzęty gospodarskie, i kupcy są Niemcy. Jedną chyba łódkę, sanki lub wózek, stół albo miskę drewnianą gospodarz sam sobie wystruże. Pożywieniem ich jest chleb owsiany i jęczmienny, w biedzie chleb z kory brzozowej, u bogatszych żytni, zresztą ryby, mleko, jaja, ser, mięso suszone.

Ubierają się pięknie tak mężczyźni jak kobiety. Mężczyźni noszą kaftany skórzane lub sukienne, ściśnięte pasem z srebrną sprzączką, kamizele z kolorowemi wypustkami, spinki srebrne u koszuli, białe wązkie spodnie, na kolanach i po

bokach pstro wyszywane, u boku nóż w pochwie skórzanej, na głowie kapelusz pilśniowy z szerokiemi kresami lub czapka czerwona. Białogłowy noszą gorsety kolorowe z błyszczącemi guzikami i paski z sprzączkami, kilka spodnic, jedna na drugiej, czerwone pończochy i trzewiki z guzami, na szyi paciorki a dziewczęta prócz tego wstążki we włosach.

Na ich pochwałę to także powiedzieć trzeba, że są pobożni i pilnie uczęszczają do kościołów, choć tam trzy i cztery mile drogi zrobić nieraz trzeba, za nim się zajdzie do kościoła. Kto na żaden sposób iść nie może do kościoła, ten się w domu modli. Obchodzą bardzo uroczyście dzień Bożego Nanrodzenia i św. Jana, także wesela i chrzciny. Wesela tak się odbywają, że wszyscy goście postrojeni, z wieńcami i bukietami z kwiatów idą parami do kościoła, z muzyką, oboje zaś państwo młodzi naprzód. Przed niemi biegnie umyślnie do tego uproszony przyjaciel, z pełnym dzbankiem piwa, który wszystkich przechodzących zaprasza na wesele, a zarazem prosi o podarunek dla państwa młodych; po ślubie idą do gospody, raczą się i tańczą.

Przy wielu dobrych przymiotach mają też ludzie norwegscy jeden bardzo zły, a to że jest między niemi wiele dumy; majętniejszy ma się za Bóg wie co, toż nie było tam przykładu, aby się kmieć ożenił z ubogą dziewczyną lub komornicą, albo aby bogata dziewka poszła za ubogiego parobka.

Nauka po wsiach z powodu odległości zagród bardzo jest utrudniona, ale i tak każdy chłop norwegski umie pisać, czytać i rachować, a książka do nabożeństwa i jeszcze nie jedna inna pożyteczna znajdzie się w każdym domu. Jest tam taki zwyczaj, że nikt się nie może komunikować kto nie umie czytać, a kto do dwudziestego roku życia jeszcze się nie komunikował, to gwałtem go przymuszą, aby się czytać nauczył. Toż chłopi czytają tam gazety, wiedzą co się w świecie dzieje, nabierają oświaty i dlatego na sejmie mądrze radzą o dobru matki ojczyzny.

Z czego powstaje głos i jak się to dzieje że go słyszymy.

(Dokończenie.)

Każden człowiek rozumny powinien rozmyślać i zastananawiać się nad tem, jak się co dzieje na świecie, i dla czego się tak a nie inaczej dzieje, bo takie rozmyślanie prowadzi do poznania wszechmocności i mądrości Stwórcy, który wszystko przewidział i wszystko dobrze zrobił.

Owóż gdy już uczeni ludzie doszli przez rozmyślanie, że głos każden, jaki uszu naszych dochodzi, powstaje przez drganie i że go słyszymy dlatego, bo się w powietrzu rozchodzi jak owe kółka na wodzie, które powstają gdy kamień do wody rzucimy, chcieli jeszcze koniecznie dojść, jak też prędko głos się rozchodzi, jak prędko leci.

Wiadomo, że gdy z armat strzelają, to ludzie stojący w znacznem oddaleniu, najprzód widzą błysk, a dopiero po chwilce słyszą huk. Pochodzi to ztąd, ponieważ ten huk nie dochodzi ludzi daleko stojących w tym samym czasie w którym powstał, lecz się rozchodzi; rozlega coraz dalej i dalej, póki do nich nie dojdzie i potrzebuje chwilki, aby od armaty doszedł do nas i wpadł do naszego ucha. Po kilku próbach uczeni ludzie doszli, ile na to czasu potrzeba, abyśmy usłyszeli huk armaty od nas oddalonej. Oto jeżeli armata jest od nas oddalona na sześćset łokci, huk wystrzału usłyszymy dopiero po jednej sekundzie, a jedna sekunda to taka kruciuchna chwileczka, jak gdy kto ręką raz machnie. Zatem głos przebiega w jednej sekundzie sześćset łokci. Gdyby armata była od nas dwa lub trzy razy bardziej oddalona, tobyśmy wystrzał usłyszeli dopiero po dwóch albo po trzech sekundach.

Ucho nasze jest bardzo sztucznie zbudowane, dlatego zaś jest tak pozaginane, aby mogło chwytać powietrze drgające, czyli rozchodzący się głos, gdy do niego dojdzie; ale to niczem jest w porównaniu z tem co się dzieje wewnątrz, w głębi

ucha. Jest tam wewnątrz kanał, który ciągnie się w głąb aż do głowy. Ten kanał jest zamknięty na końcu cieniuchną skóreczką czyli błoną. Za tą błoną jest w głowie jama z łańcuszkiem zrobionym z czterech chrząsteczek, a za nią druga podobna jama, napełniona cieczą, w której się rozgałęziają delikatne żyłki. Te żyłki to nerw słuchu. Gdy głos jaki, to jest powietrze drgające dostanie się przez kanał do błony, wtedy i błona drga; od tego drga ów łańcuszek chrząstkowaty co jest w pierwszej jamie, a przez niego drga także i ta ciecz co jest w drugiej, ostatniej jamie. Wtedy dopiero przez nerw słuchu, który idzie aż do naszego mózgu, pojmujemy i odróżniać możemy głos usłyszany.

Widzimy z tego że owe żyłki, które nazywamy nerwem są najważniejszą częścią ucha. Jakoż, gdy sobie kto ucho z wierzchu uszkodzi, albo nawet i błonę co tam jest wewnątrz, nie utraca słuchu całkiem, ale gdy się uszkodzi owa jama z cieczą, albo i sam nerw, następuje zupełna głuchota, od czego niech Pan Bóg każdego uchroni.

O zasilaniu drzew gnojówką aby lepiej rodziły.

Owoc na drzewach obfity a smaczny, wielka to dla dzieci uciecha i w gospodarstwie pożytek; a i te kilka groszy nie są do odrzucenia, które czasem przypływają do kieszeni gospodarza za wyniesioną na targ kobiałkę jabłek albo gruszek. Kto zaś ma około swego domu jaki taki sadek, powinien się starać aby mu drzewiny coraz lepiej rodziły i niczego nie zaniedbywać co ich płodność powiększyć może.

Już pisaliśmy co trzeba uczynić, aby drzewa owocowe, stare uwolnić od mchu. Potem zaś uczyliśmy was sadzić drzewka, a teraz znowu pouczymy was jak się drzewa owocowe zasila aby lepiej rodziły.

Nie zbierze ten pszeniczki, kto pod nią dobrze gruntu nie uprawi, nie będzie też zbierał owocu z drzewa ten, co o swoje

drzewa nie dba, bo drzewiny nigdy nie zasilone, skąpo rodzić będą, i nie smaczny owoc, w końcu zaś zdziczeją i całkiem przestaną rodzić.

Najtężsi gospodarze zgadzają się na to, że do zasilenia drzew owocowych, nic lepszego nie ma jak gnojówka z krowiego lub końskiego nawozu, o którą przecie u nas nie trudno, bo nie przymawiając nikomu, prawie przed każdym domem na wsi tworzy znaczne kałuże, w których nawet czasem dzieci się topią.

Bardzo by nas to cieszyło, żeby nasi gospodarze posłuchali nas i spróbowali zasilać drzewiny w swoich sadach gnojówką. Ale ktoby miał ochotę wziąść się do tego, powinien najprzód wiedzieć, jak sobie z tem postąpić, i kiedy się to robi. Podlewanie bowiem drzew owocowych gnojówką w złym czasie, to jest nie wtedy kiedy potrzeba, byłoby bezpożytecznem marnowaniem i czasu i pracy, na nic by się ta jego praca nie przydała.

Owóż jeżeliście ciekawi, a lękacie się aby was ta robota, do której was zachęcamy wiele trudu nie kosztowała, tedy wam powiem że się drzewa gnoi tylko trzy razy do roku. Praca więc nie jest wielka i dbałych o własne dobro gospodarzy nie powinna odstraszać, zwłaszcza że trudy sowicie odpłacą się temu, co ich nie będzie szczędził.

Najprzód gnoi się w sierpniu, a to dla tych pączków, co dopiero w przyszłości mają się zawiązać na drzewie; potem drugi raz w miesiącu marcu, to jest wtedy, gdy wiosna się przybliża a drzewo zaczyna się budzić ze snu zimowego, nakoniec trzeci i ostatni raz gnoi się wtedy, gdy się już kwiat zaczyna na drzewie formować.

A teraz uważajcie co wam powiem, abyście dobrze wiedzieli jak sobie trzeba postąpić przy podlewaniu drzew gnojówką. Owóż trzeba wziąść łopatę w rękę i najprzód ziemię na około pnia odrzucić, trochę mniej jak na pół łokcia w głąb i uważać aby się korzenie nie odsłoniły, co by zaszkodzić mogło. Gdy się ziemię odrzuci, trzeba przynieść wiadro dobrej gnojówki i wlać ją w ten dół na około korzeni. Gnojówka

wnet wsiąknie. Skoro się to stanie trzeba znowu przynieść wody miękkiej i nalać w ten sam dołek, poczem zgartuje się na powrót do dołka ziemię, którą się na około pnia odrzuciło i trochę przygniata.

Dobrze też jest i samą wodą podlewać drzewa owocowe w ciągu lata, podczas wielkich upałów. Do tego trzeba także odkopać ziemię w około drzewa, ale to nie robi się częściej jak raz w tydzień.

Kto z gospodarzy weźmie sobie nasze słowa do serca, i spróbuje parę razy do roku zasilić gnojówką przynajmniej niektóre drzewa w swoim sadzie, przekona się że mówię prawdę, i przyjdzie czas, że nam pięknie za tę naszą naukę podziękuje.

RÓŻNOŚCI.

(Olbrzymia kiełbasa.) W miasteczku Chełmży, w tej części Polski co jest pod panowaniem pruskiem, odbyła się w przeszłym miesiącu wystawa rolniczo-przemysłowa, na którą okoliczni gospodarze wiejscy i rozmaici majstrowie poprzysełali swoje bydło, i rozmaite wyroby, jako to: młocarnie, pługi, brony, płótno i t. d. Jeden rzeźnik z Chełmży dał na tę wystawę kiełbasę swojej roboty, olbrzymiej wielkości, miała bowiem trzydzieści trzy łokci długości. Ta kiełbasa była wystawiona na wysokim słupie, przystrojonym w kwiaty i wieńce.

Przypowieści.

Jeźli cię gniew uwiedzie, zastanów się i zważ, czy jest słuszny? Jeżeli nie jest, po co się gniewać? Jeżeli jest, wspanialej przebaczać, niż brać zemstę.

Za cnoty nasze i dobre uczynki, nie szukajmy chwały ludzkiej, bo tracimy tę, która jest od Boga.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.